

CUKIEREK ALBO PSIKUS

HALLOWEEN



Oficynka

HALLOWEEN

CUKIEREK ALBO PSIKUS

HALLOWEEN



Oficynka

Copyright © Oficynka, Gdańsk 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze, Gdańsk 2012

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

www.damasiewicz.idesigner.pl

Zdjęcie na okładce © Sandra Cunningham | depositphotos.com



Skład: dialogo.pl; biuro@dialogo.pl

ISBN: 978-83-62465-59-0



Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z ograniczoną
odpowiedzialnością S.K.A.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
www.olesiejuk.pl



Oficynka

www.oficynka.pl
email: oficynka@oficynka.pl

Cukierek albo psikus, psikus albo śmierć!

Magdalena Maria Kałużyńska

Anastazja i Krzysztof Chormańscy siedzieli w kuchni przy stole, naprzeciwko siebie. Nie grało radio, nie włączyli małego kuchennego telewizora, nie pracowało żadne urządzenie. Jedyny dźwięk, jaki do nich dochodził, to było tykanie zegara stojącego w przedpokoju.

— Już niedługo — odezwała się kobieta. Mimo parzących kaloryferów w domu było bardzo chłodno. Ale dłonie Anastazji nie trzęsły się z tego powodu, tylko z nerwów.

— Wszystko przygotowane?

— Tak. — Wskazała brodą krzesło pod oknem. Na krześle siedział sześciolatek chłopiec. Ich synek, Michał. — Dla dzieci, które przyjdą, są kruche ciasteczka, cukierki czekoladowe, cukierki owocowe — wyliczała — lizaki, drażetki, żelmisie, dropsy, pianki, landrynki.

— Landrynki są przecież dla niego.

Odsunęła szufladę, wyjęła z niej plastikową torebkę. Położyła na stole.

— Matko, Nastuś, ile tego jest?

— Dwa kilogramy.

— A w zeszłym roku wystarczyła jedna.

— No i co z tego! Przezorny zawsze ubezpieczony — żona chlipnęła. Schowała twarz w dłoniach i zaszlochała głośno. Mąż błyskawicznie znalazł się obok. Mocno ją przytulił.

— Wiemy, co robić, kochanie — uspokajał, mimo że sam z trudem powstrzymywał drżenie głosu. — Wiemy już, co robić.

— Ale może nie przyjdzie? Modliłam się o cud. Może stanie się cud?

— Niemożliwe. — Czule pogłaskał żonę po głowie. — Przyjdzie. To w końcu jego przyjaciel.

— Mój Boże... — Otarła łzy i spojrzała na synka. — Cały czas sobie powtarzam, że on jest tylko dzieckiem. Dlatego to wszystko widzi inaczej...

Synek siedział na krześle, w dłoniach trzymał uszy wielkiej papierowej, szarej torby. Machał na przemian nogami, coś sobie podśpiewywał pod nosem. Miał na sobie kupiony mu przez mamę halloweenowy kostium pękatej pszczoły — czarno-żółtą elastyczną czapkę z czułkami, pikowaną kurteczkę w czarno-żółte pasy z przyczepionymi do ramion przezroczystymi skrzydełkami, czarne rajtuzy i żółte półbuty na grubej czarnej podeszwie.

Nagle Chormańscy wyprostowali się jak struna. Jakies dźwięki dobiegały z przedpokoju. Ale nie aksamitne

tykanie zegara stojącego przy drzwiach wejściowych. Zegar przestał tykać.

Anastazja zacisnęła zęby, prawie do bólu. Krzysztof poczuł, że mimo chłodu panującego w mieszkaniu na czoło wystąpiły mu krople potu. Z przedpokoju dobiegł świst wiatru połączony z głośnym chrzęstem. Chłód momentalnie przeszedł w mróz. Oddechy zamieniły się w obłoczki pary. Michał uniósł głowę, nasłuchując. Z nieprzeniknionej ciemności oblekającej przedpokój wysączył się zniekształcony, chrapliwy, głos. Nienależący do nikogo konkretnego. Ani dziecięcy, ani głos dorosłej osoby. Nieprzyjemny, wywołujący ciarki, gęsią skórę. Zupełnie tak samo jak skrzywienie kawałka styropianu o szybę.

— *Cukierek albo psikus.*

Kobieta zerwała się na równe nogi, wzięła siatkę z landrynkami. Synek zeskoczył z krzesła i podszedł do mamy, rozchylając papierową torbę. Serce Anastazji uderzało tak mocno, że czuła ból w klatce piersiowej, trzęsły jej się nogi, drżały usta, pulsowały skronie. Była zdenerwowana do granic możliwości. Nie musiała się oglądać na męża. Wiedziała, że Krzysztof siedzi, zaciska pięści i zsiniałe z zimna usta. Prawie tak samo jak przejmujący mróz wy-czuwała jego myśli. W duchu dodawał żonie odwagi.

Wyciągnęła rękę.

— Cukierek! — powiedziała bardzo głośno, ostentacyjnie wrzucając kolorowe landrynki garściami do torby i patrząc trwożnie w stronę korytarza. — Dla ciebie. Te cukierki są specjalnie dla ciebie!

Synek odwrócił się na pięcie, znikł w ciemnościach korytarza.

Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe.

Wróciła cisza, przerywana tylko miarowym, delikatnym tykaniem zegara. Wróciła również normalna temperatura. Chormańscy dopadli kuchennego okna. Widzieli, że Michałek szedł środkiem mocno oświetlonej asfaltowej jezdni, a naokoło niego roilo się od innych dzieci, również w kostiumach. Byli czarodzieje w szpiczastych kapeluszach, Batman, pieski, kotki, wróżki, kilku grubo odzianych kowbojów, księżniczki wszelakich odcieni różowości, Zorro, mały Lord Vader, tekturowy robot, kilka biedronek. Synek Chormańskich dreptał i co jakiś czas podnosił głowę tak, jakby spoglądał na kogoś bardzo wysokiego idącego obok.

Nikogo takiego obok nie było.

Rodzice jednak wiedzieli coś innego.

— Nie zmarznie? — Anastazja spytała głucho. Była nadal zdenerwowana. Tak bardzo, że aż chciała krzyzczeć. Walić pięściami w ścianę, rwać włosy z głowy, stłuc wszystkie talerze. Chciała wyrzeszczyć cały żal, całą pretensję, którą miała głównie do siebie. Pretensję za swoją bezsilność.

— Jest wyjątkowo ciepły wieczór — odpowiedział mąż podobnym głosem. Mówił spokojnie, mimo że w środku aż kipiał od złości. Zacisnął pięści. — Jak na ironię, kochanie, jest wyjątkowo piękny ostatni wieczór października.

— Może powinnam iść za nimi?

— To by nic nie zmieniło — pokręcił przecząco głową. — Przecież wiesz.

— Wiem.

— Powiedziałaś sąsiadom?

— Tak. Ale pewnie wzięli mnie za wariatkę — szepnęła Anastazja smutno — Poza tym, jak sobie pomyślę, że gdybyśmy w zeszłym roku wiedzieli to, co teraz...

— Nie myśl o tym. Czasu przecież cofnąć się nie da.

— Może w tym roku nie będzie tyle ofiar. Mam nadzieję.

— Tak, nadzieja umiera ostatnia.

— Umiera. Trafne określenie.

Dzieci, w tym ich synek, podeszły do furtki domu położonego po drugiej stronie ulicy. Chormańska zadrżała.

— Krzysztof!

— Tak, kochanie?

— To ja ci zwracam honor. Nienawidzę tego głupiego Halloween! Nienawidzę!!!

Rok wcześniej.

Tydzień przed Świętem Zmarłych

Niedziela

Tego roku żdźbła zboża wyrosły nadzwyczaj wysoko. Złote kłosa, ciężkie od ziaren, kołysały się miarowo, muskane podmuchami wiatru. Żniwiarze szykowali swoje narzędzia pracy. Sprawne dłonie rytmicznie przesuwwały oselki po lekko zakrzywionym ostrzu...

Anastazja otworzyła oczy, tym samym przeganiając sen, w którym widziała kołyszące się łany dojrzałego zboża oraz mężczyzn ostrzających kosy. Odszedł tylko obraz. Dźwięk ostrzenia pozostał... Usiadła na łóżku,

przetarła oczy, ziewnęła. Zerknęła na podświetlany zegar. Było piętnaście po drugiej. Siedziała tak dłuższą chwilę, aż zrobiło jej się chłodno. W okiennych szparach świszczwał nocny wiatr.

— Chyba zgłupiałam... — stęknęła.

Opadła ciężko na poduszkę, zarzuciła kołdrę na głowę i od razu zasnęła.

Poniedziałek

Mężczyźni ostrzyli kosy. Sprawne dłonie rytmicznie przesuwają oselki po lekko zakrzywionym ostrzu...

Anastazję coś obudziło. Znajomy ze snu, charakterystyczny metaliczny dźwięk przesuwania oselki po długim ostrzu. Tak, ten dźwięk ją obudził. Od razu usiadła, nie przetarła oczu, nie ziewnęła. Zapaliła nocną lampkę. Zerknęła na zegar. Piętnaście po drugiej. Zerknęła na męża. Spał na boku, odwrócony do niej plecami. Chrapał.

Metaliczne brzmienie nie ustawało. Wyraźnie dochodziło z zewnątrz. Ale skąd dokładnie? Od sąsiadów z domu obok? Szymańscy coś ostrzyli? W środku nocy? Albo Kowalczykowie? Może ktoś z sąsiadów mieszkających na przeciwko? Nie, ten dźwięk nie był aż tak donośny. Domy położone po drugiej stronie ulicy są przecież daleko...

Zsunęła nogi z łóżka. Dźwięk momentalnie umilkł. Anastazja dopiero wtedy poczuła straszny chłód. Było jej bardzo zimno. Aż dygotała. Przebiegło jej przez głowę, że to początki grypy, na pewno ma gorączkę. Wstała i na palcach, żeby nie obudzić męża, podeszła do komody. Wyjęła z szuflady bawełnianą bluzkę z długimi rękawami i pośpiesznie ją

założyła. Szczękając zębami, szybko wróciła do łóżka, bezselestnie wsuwając się pod koldrę. Zanim zmorzył ją głęboki sen, jeszcze długo nasłuchiwała metalicznego dźwięku.

Tej nocy jednak się już nie powtórzył.

Wtorek

Słońce przygrzewało. Pchane wiatrem, białe, niewielkie puchate obłoki rzucały plamy drgających cieni na bezkres rozkołysanych kłosów. Tylko kilka ruchów oselki dzieliło każdego żniwiarza od wyjścia w to rozgrzane pole...

Anastazja znowu śniła o polu dojrzałego zboża. Widziała również tych mężczyzn, żniwiarzy, przygotowujących się do koszenia. I kiedy we śnie pojawił się metaliczny dźwięk, od razu usiadła na łóżku. Zupełnie jakby nie spała, tylko czekała na ten znajomy odgłos. Teraz uważnie nasłuchiwała. Dźwięk był taki sam jak zeszłej nocy. Ale tym razem brzmiał wyraźniej, bliżej, jakby... Wstrzymała oddech. Tak! Dźwięk dochodził z pogrążonego we śnie i ciemnościach domu. Ale skąd? Co mogło wydawać taki odgłos? Coś w kuchni? A może w łazience? W piwnicy? A może... Ktoś! O nie! Poczowała jak włosy jeżą się jej na głowie. Najwyraźniej ktoś był w domu! Wyobraziła sobie piwnicę, kogoś obcego, intruza ukrytego za zasłoną czerni... I ten ktoś, intruz, sprawiał, że rozchodził się dziwny, niepokojący, straszny dźwięk!

Przez ulotną chwilę pomyślała, żeby wstać, wziąć latarkę w jedną rękę, coś ciężkiego w drugą i odważnie iść na poszukiwania tego włamywacza. Głupi pomysł. Postanowiła obudzić męża.

— Kochanie... — delikatnie poklepała go po ramieniu.

Krzysztof stęknął przez sen, żeby dać mu jeszcze dziesięć minut. Wstanie i wszystko naprawi, wszystkie sprawy załatwi. W tym zapchane kolanko pod zlewem i firmę od segregowania śmieci, wymieni też filtr w okapie i termostat w piecu, bo chyba coś nawala. Kiedy mocno potrząsnęła jego ramieniem, otworzył oczy i wciąż nieprzytomnym wzrokiem spoznał na żonę.

— Co jest?

— Słyszysz?

— Co niby słyszę?!

Przyłożyła palec do ust. Nie musiała uciszać męża. Metaliczny dźwięk był wyraźny i głośny, zupełnie jakby dobiegał z pokoju obok.

— Ki czort? — Krzysztof usiadł.

— Nie wiem. Ale taki dźwięk, że mam ciarki. Straszny.

— Przyjemny nie jest. Poza tym masz dreszcze, bo tu jest pieruńsko zimno. Przygasiałaś ogrzewanie?

— Nie.

Metaliczny dźwięk nie ustawał.

— Cholera, co to jest?!

— Poprzednio brzmiał inaczej. Z oddali.

— Poprzednio?

— Wczoraj w nocy. Przedwczoraj.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś?!

— Bo przestało zgrzytać i się nie powtórzyło. Gdzie idziesz?

— Jak to gdzie? Złapać tego dowcipnego gówniarza i urwać mu nogi przy samej głowie!

— Raczej głowę przy samej dupie. Jakiego dowcipnego gówniarza? Lepiej zadzwońmy po policję. A jeżeli to złodziej?

— Kobieto, litości. Złodziej by tak nie hałasował!

Krzysztof był wściekły. Wyprysnął z łóżka jak oparzony. Wyjął z komody latarkę, zaśwycił i zgasił kilka razy, sprawdzając baterie. Mimo działającego ogrzewania w sypialni było chłodno. Oboje w mig ubrali się ciepłej. Najpierw zajrzeli do pokoju syna. Michał spał ściśle otulony kołdrą. Zajrzeli do wszystkich pomieszczeń, sprawdzili piwnicę, nawet schowek pod schodami. Wszystkie okna były zamknięte, drzwi wejściowe też. Obeszli dom, kilka razy. Dźwięk metalicznego tarcia raz przybliżał się, raz oddalał. Raz był wszędzie, raz nigdzie.

Nagle umilkł.

— Ktoś sobie najwyraźniej robi z nas jaja — mruknął Krzysztof. — Nie ma to tamto. Psa ci kupię. Ogromnego, stróżującego psa. Albo od razu dwa ogromne stróżujące psy. Wtedy nawet najmniejsza mysz się nie prześliznie! — krzyknął, stojąc na trawniku. Śwycił latarką przed siebie.

— Jeżeli wchodzi w grę mysz, to musisz mi kupić ogromnego stróżującego kota. Dwa ogromne stróżujące koty. Najlepiej od razu tygrysy. Może trzeba zadzwonić po kogoś?

— Ale co ja powiem policji, kochanie, że ktoś sobie z nas głupa po nocy struga?

— Nie struga, tylko coś ostrzy!

— Ale co ja powiem policji, kochanie, że ktoś sobie z nas głupa po nocy ostrzy? Lepiej?

— No to może zadzwoń po kogoś, żeby może sprawdził kaloryfery, co?

— Cholera, rzeczywiście, na zewnątrz jest cieplej niż w domu! Do Mietka zadzwonię.

Tej nocy już nie poszli spać. Siedzieli w chłodnej kuchni, rozgrzewając się kawą. Rozmawiali. Mąż deklarował, że temu żartownisiowi, który sobie robił jaja już na kilka dni przed Halloween, powyrywa z dupy nogi. Złapie go i z dupy nogi powyrywa! Może być przy świadkach. Żart dzieciaka wychowanego na amerykańskich horrorach — nie widział innego wytłumaczenia źródła metalicznego dźwięku. Stwierdził również, że Michałowi nie pozwoli oglądać albo czytać żadnych horrorów, żeby w głowie dziecka się nie załęgły tego typu lub podobne głupie pomysły.

— Że niby duchy, zmory, upiory, zombie, wampiry i kto niby jeszcze? Co za bzdury!

— Może i bzdury... — Anastazja po raz setny mieszała swoją kawę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Może ten dźwięk to strzyga, która przyszła z pola albo lasu i sobie ostrzyła szpony. Albo jakaś inna mroczna łajza tu zaczęła straszyć. Z jakiegoś sobie tylko znanego powodu. Ewentualnie zmora albo... Kto to wie... — Spojrzała na niego spode łba.

— Ty robisz to specjalnie?

— Niby co... — Uśmiechnęła się złośliwie.

— Specjalnie mnie denerwujesz?! Strzyga? Mroczna łącza? Zmora?

— Oj, odczep się. Żartowałam.

— Wcale mi nie jest do śmiechu, kiedy mówisz te swoje babskie gusła i jakieś przesady!

Nie odpowiedziała. Kilka minut wcześniej chciała streścić mężowi sen o żniwiarzach, ale po tym, jak skomentował jej żart, ochota na opowiadanie dziwnego snu przeszła jej jak ręką odjął.

— A ten chłód w domu? — Mężowi zrobiło się głupio, po tym jak się odezwał. — Masz jakąś teorię na temat tego chłodu?

— Z chłodem tylko oddech albo dotyk śmierci mi się kojarzy... i to by pasowało do dźwięku ostrzenia...

— Upiła kawy. — Ale to tylko takie moje babskie gusła i przesady.

— Nastusiu, kochanie — przerwał jej mąż. — Przepraszam. Ja tylko chciałem powiedzieć, że na wszystko jest przecież logiczne wytłumaczenie. Chłodno, bo ogrzewanie siada. Metalicznie zgrzyta, to pewnie coś gra w rurach albo generalnie w instalacji. Mroczna łącza? Jediną wylęgarnią łącz tutaj jest sklep monopolowy. Choć tamte łączy nie są wcale mroczne, raczej przepite. Straszą, ale tylko wyglądem, no i chuchnięciem. Bardzo szanuję twoje ciągoty do bajek, ludowych mitów i klechd domowych, ale...

Ale nie wierzył i tym bardziej nie lubił tego rodzaju opowieści. Mogły dla niego nie istnieć historie o duchach, nawiedzonych domach, wszelakich straszydłach, zaświatach, demonach, krasnoludkach, nimfach. Anastazja miała

ciągoty do historii niesamowitych. Co krok doszukiwała się ingerencji sił nadprzyrodzonych. To bardzo drażniło Krzysztofa, który zaliczał się do osób twardo stąpających po ziemi. Innymi słowy wierzył tylko w to, co zobaczył. Albo dotknął, doświadczył namacalnie.

— W takim razie ty mi teraz sprzedaj teorię, że ktoś straszył nas kilka dni przed Halloween — zagadnęła przekornie.

— Nie mam żadnej teorii, oprócz stwierdzenia, że to był kiepski żart. Naprawdę kiepski. Do tego zalatujący cholernymi amerykańizmami! — rozochocił się. — Nienawidzę Halloween. Nienawidzę tego zwyczaju. Głupia nowa moda jakaś.

— Wcale nie nowa i wcale nie moda...

— Ale wytłumacz mi, po co? Po co robić przedstawienie albo z siebie idiotę? Kiedyś nie wycinało się zębatych dyń ani się nie przebierało za trupy, tylko szło ze zniczami na groby i oddawało należną cześć tym, którzy odeszli.

— Teraz też tak jest. A to całe, jak je nazwałeś, przedstawienie, jest głównie skierowane do dzieci.

— I nie, nieprawda, nie tylko dzieci się przebierają.

— Ale ja mam na myśli chodzenie po domach, straszenie sąsiadów, psikusy.

— Dziecko nas straszyc dzisiaj?

— Chodzi mi o to, że dzieci się w to bawią, żeby przełamać strach przed śmiercią i ją oddemonizować. Ogólnie rzecz biorąc, ułaskawić. Halloween to nie jest żadna profanacja Święta Zmarłych. Dorośli się też przy okazji dobrze bawią, przynajmniej niektórzy... — Upiła łyk kawy,

obejmując kubek obiema dłońmi. — A tego, mój drogi, nikomu nie zabronisz.

— Czego?

— Zabawy.

— Rzeczywiście, zabawy nie zabronię.

— I to do Celtów miej pretensje. Halloween nie jest żadnym amerykańizmem!

— Dobrze, zwracam honor.

— Wcale nie chcę, żebyś mi zwracał honor. Ja tylko bym chciała, żebyś łaskawiej spojrział na ten obyczaj. Już pomijając jego pochodzenie.

— Nie spojrzę. Nadal uważam, uważałem i będę uważał maskaradę, wycinanie dyń oraz wszystkie inne podobne wygłupy za kompletnie niepotrzebne.

Żona stwierdziła coś o uporze większym niż ośli oraz braku skłonności do kompromisów. I że na pewno jeszcze spróbuje przekonać męża o swoich racjach. Po chwili jednak spytała bardzo poważnie:

— Co, jeżeli się okaże, na przykład, że w ogródku albo w domu faktycznie jakiś psychopata ostrzył ogromny nóż? Na nas?

— Wtedy zadzwonię po policję i powiem, że prawdopodobnie odwiedził nas tajemniczy dwumetrowy dobrodziej z równie wielką maczetą, noszący maskę ochronną amerykańskiego bramkarza hokeisty, zasłaniającą jego makabrycznie zniekształconą twarz psychopatycznego mutantą.

— Ktoś tu podobno nie ogląda głupich horrorów — stwierdziła kąśliwie.

— Bo nie ogłądałam. Bo to dopiero są wyssane z palca bzdury — plątał się. — Tak mi wpadło do głowy. Jakoś. Ciepłej ci już?

Środa

Żniwiarze ustawili się szeregiem na pasie między biegnącym wzdłuż pola. Zaraz potem zaczęli pracę.

Wezwany w trybie pilnym pan Mietek, wielki niczym niedźwiedź, łysy jak kolano i wiecznie z czegoś niezadowolony właściciel zakładu naprawczego, człapał po domu Chormańskich, sprawdzając kaloryfery. Sprawdzając to za mocno powiedziane. Dotykając. Krzysztof chodził za nim.

— I od kiedy tak tu zimno i tak trze metal?

— Mówiłem, zimno od niedzieli. Metal też. Tylko trze w nocy.

— A nie majdrowałeś pan żadnymi wajchami?

— Jakimi znowu wajchami?

— Przy rurach. Albo przy piecu. Tam są wajchy, takie czerwone.

— Niczym nie majdrowałem! — warknął Krzysztof.

— I to się sprawdzi. Każdy tak mówi. Że niby niewinny, śrubki nie wykręcił, zaworkiem się nie bawił. Jakoś tak się wzięło, się samo zepsuło. A później, że zimno, że coś szura.

Kaloryfery były gorące, niektóre aż za bardzo, prawie parzyły.

— Żaden niezapowietrzony. Ale dają nieźle, na cały zyhel.

— Bo zimno było, to rozkręciłem. To chyba oczywiste!

— I jednak majdrował — stęknął fachowiec, unosząc palec wskazujący. — Ekonomiczne ma być grzanie, bo termostat nie wyrobi i zacznie puszczać, rozumiemy się? Przygasić trzeba.

Mimo ustawienia na maksymalne grzanie piec gazowy pracował bez zakłóceń.

— Skoro wszystko dobrze idzie — pan złota rączka podrapał się po głowie — to, cholera, może ocieplenie chałupy przepuszcza albo co... Skąd ten mróz przechodzi, ja się pytam.

— Raczej ja się pytam. I co dalej?

— I nic, panie kochany. — Fachowiec stanął przy drzwiach wyjściowych. — Pojęcia nie mam. Zimy jeszcze nie ma, kaloryfery ciepłe, a w domu...

— W domu prawie szron na ścianach — dokończył Chormański.

— Pojęcia nie mam.

— To już pan mówił. Może coś gdzieś się zablokowało?

— Ale co i gdzie? Myślę, panie kochany, cały czas myślę.

— I co pan wymyślił?

— Ale tak od razu?

— Co pan wymyślił teraz?

— Ano gdyby się gdzieś czop jakiś zrobił albo coś, to instalacja by wzięła pieprznęła. Razem z domem. Nie pieprznęła? Nie. To umówimy się tak. — Pan Mietek gadał jakby do siebie. — Jeżeli się zrobi zimno albo znowu coś zaszura, dzwoń pan. Skrzyknę moich chłopaków, przyjedziemy ze sprzętem i sprawdzimy całość. — Gestykował jedną ręką, drugą prawie cały czas drapał się po